

KONTYNUACJA
POWIEŚCI *GRAND*

GATE

JANUSZ LEON

WIŚNIEWSKI

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Milena spoglądała na niego, zagryzając wargi. Słuchała go, ale myślami błądziła gdzie indziej. Szukała we wspomnieniach ojca Julki z tamtej odległej przeszłości. Julkę pamiętała. Chociaż bardziej pamiętała swoją zazdrość, że Julka ma ojca, a ona nie. Nawet dzisiaj, teraz, tutaj, po tylu latach, pamiętała bardziej zazdrość niż jej powód. Pamięta, że wdrapywała się na kolana ojca Julki w parku w Oliwie, ale bardziej pamięta, że wdrapała się pierwsza, aby to ją jako pierwszą przytulił. Rozalia, która nie lubiła, aby nazywała ją babcią, zastąpiła jej matkę. Ale tylko matkę. Tak było cały czas. Rozalia. Babcia ukochana, ale także mama, później nawet starsza siostra. Ojca, taty, tatulka zastąpić Rozalia nie potrafiła. Chociaż tak bardzo się starała. Grała z nią w piłkę, zdyszana biegła za rowerem, gdy uczyła ją jeździć, w tajemnicy uczyła się fizyki, aby rozwiązywać z nią zadania, bo staroświecko uważała, że fizyki córki nauczyć mogą jedynie ojcowie, a ponieważ jej wnuczka ojca nie ma, to ona się wszystkiego o tych prędkościach dwóch mijających się idiotycznych pociągów po nocach nauczy i go zastąpi. Babci Rozalii nigdy to się nie udało. Nawet gdyby nauczyła się wszystkich całek w teorii względności, to także nie. Bo Rozalia nie posiadała ojcowskich kolan, na które mogłaby się wdrapywać i czekać na utulenie. Chociaż babcia Rozalia tuliła ją częściej niż ona swojego niedźwiadka pluszaka, ostatni prezent od ojca. Ona chciała na kolana mężczyzny. Na kolana ojca chciała. Ojciec zniknął, więc szukała imitacji. Pierwszy raz wdrapała się na kolana obcego mężczyzny tam w parku w Oliwie. Potem wdrapywała się na inne. Zawsze starszych mężczyzn. Kiedy przestała być małą

dziewczynką, urosły jej piersi, zaokrągliły się uda i pośladki, przestała oczywiście się wdrapywać, ale w gruncie rzeczy nie przestała do nich jednoznacznie lgnąć. Niektórzy z nich odczytywali to opacznie. Ona poszukiwała opieki, bezpieczeństwa i miłości, oni najczęściej to na początku obiecywali, ale niedługo potem chcieli, aby z kolan, na które ją sami sadzali, zsuwała się na podłogę i rozpiniała rozporek ich spodni. Czasami to robiła, bo jako duża już dziewczynka rozumiała, że to także należy do relacji. Kiedy jednak po krótkim czasie sens tych relacji ograniczał się głównie do przelotnych kolacji, przejazdów autem do lasu lub wieczornych wizyt w ich pustych biurach i kończył się oczekiwany przez nich seksem oralnym, szybko zrozumiała, że z opieką, bezpieczeństwem, a tym bardziej i miłością nie ma to nic wspólnego. Starsi mężczyźni w wieku jej ojca, gdyby żył, mają ponadto tę przypadłość, że przeważnie mają żony, a wielu także dzieci. Niektóre córki tych mężczyzn były starsze od niej. Dowiadywała się o tym przeważnie od żon tych mężczyzn, które romanse swoich mężów prędzej raczej niż później odkrywały w ich komputerach lub telefonach. To od owych żon dowiadywała się, że o żadnej separacji nie ma mowy, że jest kolejną kochanką i wcale nie jedyną. Urozmaiceniem seksualnym znudzonych mężów w okresie głębokiego kryzysu wieku średniego jest. Niczym więcej. Łupem i trofeum, bo pochwalić się równie znudzonym swoimi żonami kolegom, że bzyka się dziewczę młodsze od córki, to w samczym świecie nie byle co. I na dodatek za darmo, bo to nie jakaś „paszczata” tirówka z drogi do Tczewa. To studentka i to nie taka na zleceniach z agencji.

Po kolejnej rozmowie z taką żoną spakowała swój plecak i wyjechała do Londynu. Babcia Rozalia płakała, ale jej nie zatrzymywała. Na lotnisku w Gdańsku, przy pożegnaniu, wcisnęła jej do ręki kopertę z banknotami. Do dzisiaj nie wie, jak oszczędziła tę sumę ze swojej marnej emerytury.

Tydzień mieszkała u przyjaciółki. Bez trudu znalazła pracę. Znała angielski, a po piętnastce, gdańskim liceum na Zaspie, także biegle hiszpański. I na dodatek polski, który wówczas w wypchanym Polakami Londynie był cenionym kapitałem. Szczególnie w biurze podróży, które ją zatrudniło. Mieściło się w zachodnim Londynie w dzielnicy Ealing, gdzie mieszkała większość Polaków. I to takich z pieniędzmi, podróżujących.

Współwłaścicielem i dyrektorem biura był Pierre. Kanaadyjczyk z Quebecu. Wysoki, szczupły, wysportowany, wiecznie uśmiechnięty i wiecznie opalony. Mówił biegle po angielsku z uroczym francuskim akcentem. Kiedy weszła do biura ze swoim CV, stał odwrócony plecami przy kserokopiarce. Opowiadała sekretarce, że szuka pracy. Podszedł do nich i stanął za krzesłem sekretarki. W milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, mierząc ją wzrokiem od stóp do głowy. W pewnej chwili sekretarka uniosła kartki z jej CV i wysunęła swoją rękę za głowę. Chwycił kartki i poprosił, aby Milena poszła za nim.

Na zapleczu biura, w ciasnym, zagraconym pokoiku stało niezaścielone wąskie łóżko, mały okrągły stolik i dwa taborety. W ogóle nie przeczytał jej CV. Pytał, skąd jest, czy lubi podróżować, ile ma lat, czy jest gotowa pracować także w niedziele. Najpierw mówił po angielsku, potem po francusku.

Kiedy na pytania po francusku, przewrotnie odparła po hiszpańsku, wyznając, że tego języka jeszcze, jak na razie nie rozumie, zaczął mówić tylko po hiszpańsku. Co ciekawe bez tego swojego francuskiego rzyrania. W pewnej chwili wstał z taboretu i z segregatora stojącego pomiędzy zwojami kabli na półce regału wyciągnął kilka zadrukowanych kartek. Poprosił o jej paszport. Kilka chwil przypatrywał się to jej, to fotografii w paszporcie, uśmiechając się. W puste rubryki zaczął wpisywać dane. Kiedy dotarł do miejsca jej urodzenia, uniósł głowę i zaczął opowiadać o Sopocie.

Był tam jako młody chłopak. Płynęli jachtem od Plymouth do Tallina, który wówczas był ciągle sowiecki. W czasie sztormu na Bałtyku stracili żagiel. Na ostatnich resztkach paliwa dopłynęli do mola w Sopocie. Nikt z nich nie miał polskiej wizy, a to były podłe czasy podzielonego świata. Nie posiadali wiz, ponieważ nie zamierzali zawijać do polskich portów. Ludzie na molo zaczęli im pomagać. Jeszcze tego samego dnia ktoś zorganizował nowy żagiel, ktoś inny osprzęt. Jakaś kobieta przyniosła im termosy z gorącą herbatą i talerze z ciastem. Żaden z nich w obawie przed komunistami nie dotknął stopą tego mola. Dlatego tak naprawdę nie może powiedzieć, że był w Polsce. Wszyscy im pomagali. Pamięta do dzisiaj.

Kiedy to mówił, dostrzegła rozczenie na jego twarzy. Gdy się uśmiechał, na opalonej skórze wokół jego oczu pojawiały się jaśniejsze, głębokie bruzdy zmarszczek. Zastanawiała się, ile może mieć lat. Wysportowane, muskularne ciało wydawało się o wiele młodsze niż jego ogorzała, wychudzona, poprzecinana zmarszczkami twarz.

Po tej opowieści o Sopocie wrócił do pisania. W pewnej chwili, nie unosząc głowy, zapytał, ile chce zarabiać. Zmieszała się. Nie była przygotowana na takie pytanie. Tak naprawdę chciała zostawić swoje podanie o pracę i czekać na telefon. Milczał, czekając na jej odpowiedź. Wymieniła jakąś sumę. Uniósł głowę i spojrział w jej oczy. W rubrykę wpisał sumę dwukrotnie wyższą.

Zaczęła pracować już od następnego dnia. Pierre bywał w biurze trzy dni w tygodniu. W środy późnym wieczorem wracał do Canterbury, gdzie mieszkał. Podczas pobytu w Londynie nocował w rupieciarni na zapleczu biura. Na początku, ucząc się nowej pracy, zostawała w biurze długo po zamknięciu. Niekiedy przychodził do niej i cierpliwie wszystko objaśniał. Kiedy zamawiał jedzenie, to zawsze dla nich dwojga. Rozkładał wtedy obrus na nieskazitelnie czystym i dziwacznie pustym biurku ich austriackiej sekretarki, opuszczał roletę przy szybie wystawowej, wyłączał telefony, siadali naprzeciwko siebie i rozmawiali. Często do późnej nocy. Zabawnie udawał, że nie zauważył, jak stało się późno, zamawiał dla niej taksówkę i czekał na chodniku przed biurem, aż zniknęła za zakrętem.

Po kilku tygodniach wszystko już potrafiła i nie musiał jej już nic objaśniać. Ona także nie musiała pozostawać po zamknięciu biura. Pomimo to nie wracała do domu. Ale tylko w poniedziałki i wtorki. We środy około siedemnastej Pierre żegnał się ze wszystkimi i jechał do Canterbury. Od pewnego momentu nie lubiła, gdy nadchodziła środa, niewiele czasu później tęskniła za poniedziałkami.

Zakochiwała się w nim. Powoli, nieszczęśliwie i wbrew sobie. Myślała, że to już minęło, że już nigdy, myślała. Żadnych żon! Nie po to uciekła z Gdańska, aby żyć w strachu przed kobietą z Canterbury. Nigdy o Canterbury nie pytała, chociaż powinna. Pewnego razu we środę po południu nachylił się nad nią i wdychając ciepłe powietrze do ucha, zapytał szeptem, czy kiedykolwiek była w Kent i czy zechciałaby z nim tam dzisiaj pojechać. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się Kent, ale gdziekolwiek by był, bardzo chciała. Pojechać. Tylko z nim. Gdziekolwiek.

W Canterbury sypiał w pokoju jeszcze mniejszym niż ten na zapleczu ich londyńskiego biura. Na jeszcze węższym łóżku. Kiedy tam weszli, myślała, że znalazła się w magazynie jakiejś księgarni lub biblioteki. Regały od sufitu po podłogę i otwór na okno, pod którym stało jego łóżko. Książki także na parapecie tego okna. Ułożone w wysokie sztaple stały również na podłodze. Z pokojem łączyła się ciasna, ślepa kuchnia, przez którą wchodziło się do łazienki. W narożniku pokoju – mały dębowy stolik i dwa krzesła. Innych mebli tam nie było.

Część tygodnia zarabiał pieniądze w swoim londyńskim biurze podróży, drugą połowę wykładał fizykę i astronomię na uniwersytecie w Canterbury. Mieszkał w akademiku, jadł w studenckiej stołówce. Odważyła się i zapytała, dlaczego nie ma normalnego domu. Po chwili namysłu odparł, że jest w Anglii tylko przejazdem. Po studiach na Harvardzie miał dość zapyziałej intelektualnie Ameryki, więc przybył tutaj robić doktorat w Oksfordzie dwadzieścia dwa lata temu,

to długi przejazd, ale ciągle czuje się tutaj gościem. Kiedyś powróci do domu. W Kanadzie. Miała wówczas doskonałą okazję, aby go zapytać, czy tam w Kanadzie ktoś na niego czeka. Nie odważyła się. Bała się tego, co mogłaby usłyszeć w odpowiedzi.

Potem oprowadził ją po kampusie. Z dumą w głosie zachwalał swój University of Kent przy Canterbury – bo do miasta stamtąd jest dość daleko, dlatego „przy” a nie „w” – jako jeden z lepszych na wyspach. Szczególnie jeśli chodzi o informatykę, nauki ścisłe i ostatnio genetykę. Kiedy spacerowali alejkami, to co rusz ktoś pozdrawiał go uprzejmym „dzień dobry, panie profesorze”, a studentki patrzyły na nią z nieukrywanym zaciekawieniem. Ten sam Pierre, który w Londynie był z wszystkimi na ty, nie pozwalał do siebie mówić szefie lub dyrektorze, siadywał za komputerem tak jak oni wszyscy i robił dokładnie to samo co oni, nagle stał się profesorem! Tyle razy ze sobą rozmawiali, ale nigdy jej tego nie powiedział. W biurze także nie wiadano, co przez cztery dni w tygodniu w Canterbury robi ich szef. Mieszka tam, ot co. To jego życie, jego biuro i jego sprawa. Poza tym z Canterbury to tylko żabi skok do plaży i morza. Każdy chciałby tak mieszkać, a akurat jego na to stać.

Z kampusu rozpostartego na malowniczych, porośniętych trawą wzgórzach otaczających miasto pojechali do centrum. Skuterem. Kiedy przechodzili obok zadaszzonego parkingu na rowery, sięgnął po jej dłoń i pociągnął za sobą. W rogu parkingu stała bordowa, stareńka, obdrapana vespa z przewieszonym przez kierownicę kaskiem pomalowanym w kolory

włoskiej flagi. Z bagażnika wydobył drugi. Taki sam. Nigdy dotąd nie jechała skuterem. Usiadła za nim i mocno go objęła. Nie zapytała, dokąd jadą. To na tym skuterze pierwszy raz, z całych sił się wtulając, dotykała jego ciała.

Zatrzymali się przy ogromnej gotyckiej katedrze. Wokół i w środku było pełno ludzi. Trzymał ją za rękę, gdy przepychali się przez tłum. Opowiadał o historii tej katedry, zachwycał się witrażami, wspominał polskiego papieża, który bardzo wówczas odważnie – w imię ekumenicznego pojednania z anglikanami – pojawił się tutaj w 1982 roku. Kiedy mijali główny ołtarz, oddalił się od niej, przykląkł i chwilę się modlił. Stała za nim i bardzo zaskoczona myślała, czy to nie hipokryzja, iż kosmolog naukowo opowiadający o matematycznej osobliwości w momencie Wielkiego Wybuchu przy powstaniu Wszechświata wierzy w Boga, który rzekomo ustanowił ten Wszechświat aktem stworzenia. Miała go kiedyś o to zapytać. Tam w katedrze, tuż po jego modlitwie, było to niefortunne, a potem uszło to jej pamięci.

Wrócili do uniwersytetu i na innym parkingu przesiedli się do jego samochodu.

Małego zielonego mini morrissa. Był tak mały, że Pierre głową dotykał do sufitu. Musiał być bardzo stary, bo dźwignia zmiany biegów ciągle była przy kierownicy. Obwiozł ją po hrabstwie Kent. Odwiedzali leniwe miasteczka, zatrzymywali się przy ruinach zamków, pili kawę w pubach. Niektóre z nich wydawały się tak stare, że przypominały jej wyszynki z oglądanego w dzieciństwie serialu o Robin Hoodzie. Prawie w każdym, do którego zachodzili, obsługa znała Pierre'a. Tam

również zwracano się do niego per „pan profesor”. Kiedy podchodzono do ich stolika, aby przywitać się z „panem profesorem”, Pierre zrywał się z krzesła i przedstawiał ją jako „miss Milena from Poland”, a potem zazwyczaj przyjacielsko obejmował, najczęściej właściciela pubu. Krótko z nimi rozmawiał, podczas gdy oni uważnie się jej przypatrywali. Pewnego razu zapytała, czy obecność kobiet w pubie ciągle tutaj dziwi. Uśmiechnął się i stanowczo zaprzeczył. Dziwi obecność kobiety z nim. Odwiedza te puby od dziesięciu lat, ale nigdy nie był w nich z żadną kobietą. Pewnie stąd ich zdziwienie.

Zmierzchało, kiedy w pewnej chwili wjechali trawiastą drogą w głąb lasu. Wyłączył silnik. Chwilę siedzieli w milczeniu. Zamknęła oczy i czekała. Pocałuje ją, chwyci jej dłoń, najpierw przytuli do ust, a potem wsunie między swoje uda. Ale tak się nie działo. Chociaż tak bardzo chciała. Nawet nie dotykał jej dłoni. Zaczął opowiadać o modrzewiach, sosnach, cisach i o miękkim mchu, który w lasach hrabstwa Kent jest dwa razy grubszy, o wiele gęstszy i na dodatek zupełnie inaczej zielony niż ten w Kanadzie. Myślała o tym, jak pięknie mogliby się kochać na tym puszystym mchu w hrabstwie Kent. Nie odważyła się mu jednak o tym powiedzieć. Nie uczyniła też, tak naprawdę wbrew swojej woli i pragnieniom, żadnego gestu, który by do tego zachęcał. Siedziała nieruchomo i cicho oddychała.

Po powrocie do Londynu niewiele się w jego zachowaniu zmieniło. Wieczorami tak jak przedtem w pustym biurze kładł obrus na blacie biurka sekretarki, jadalali zamówione przez niego kolacje i rozmawiali. Jedynie taksówka przyjeżdżała coraz później. Pewnego razu postawiła butelkę wina

i przyniesione z domu dwa kieliszki. Niespokojna, ponieważ nie była pewna jego reakcji. Jadali kolację, słuchali muzyki, czasami zapalał świece, ale nigdy dotąd na stole nie pojawiło się wino. Uśmiechnął się tylko, bez słowa wstał od stołu i ze swojego pokoju na zapleczu przyniósł dwa inne kieliszki. Bardziej, jego zdaniem, pasujące do czerwonego wina.

„Po Canterbury” – zaczęła mierzyć czas przed tym wyjazdem i po nim – stał się dla niej kimś innym. To, że okazał się profesorem, oczywiście jej zaimponowało, ale nie było czymś, co nie pasowało do niego. Była pewna, że jest wykształconym erudytą. Chociaż ze sposobu, w jaki mówił i tego, co mówił, wydawał się jej bardziej humanistą niż astronomem. Za każdym razem zaprzeczał, że jest astronomem. Uparcie powtarzał, że jest kosmologiem, podczas gdy ona nie potrafiła odnaleźć w tym różnicy. O kosmosie i astronomii mówił niewiele. Dopiero pytany, pięknie opowiadał o planetach, kometach, gwiazdach karłowatych w różnych kolorach, czarnych dziurach, początku i końcu Wszechświata, ale najwięcej opowiadał o czasie, który płynie tylko w jedną stronę i nikt nie potrafi go zatrzymać. Chociaż bardzo by tego chciał, bo zazdrości jej, że ma go jeszcze tyle przed sobą, a on już tak bardzo niewiele.

Bardziej, po Canterbury, imponowała jej jego skromność. Dowiedziała się, że ze swojego wykształcenia nie czynił powodu do dumy, chociaż mógłby mieć ich wiele. Żył niesłychanie skromnie, więcej słuchał, niż mówił, a potem jeszcze więcej myślał o tym, co usłyszał. Na dodatek wyróżnił ją. Bardzo niezwykle. Zabrał ją do swojego świata, o którym nikt inny w Londynie nie miał bladego pojęcia.

Pewnego poniedziałku, w listopadzie, stał jak zwykle na chodniku przed biurem i czekał, aż jej taksówka skręci. Przy pierwszych światłach za rogiem poprosiła taksówkarza, aby natychmiast zawrócił. Skłamała, że zapomniała telefonu. Zaczynał listopadowy londyński deszcz. Nie miała parasola. Taksówkarz także nie miał, co w Londynie jest nieprofesjonalnym niedopatrzeniem. Nie widziała sensu, aby na nią czekał. Taksówka odjechała, a ona w strugach deszczu stała przed drzwiami biura i rozpaczliwie stukała w szybę. Zanim zamknięty w swoim pokoju daleko na zapleczu biura, usłyszał jej kołatanie, była cała mokra i trzęsła się z zimna. Nie pytał, co się stało, że wróciła. Bez słowa wciągnął ją do biura. Zerwał z niej kurtkę, ściągnął obrus z biurka i zaczął nim wycierać jej włosy. Potem chwycił za rękę i wąskim korytarzem zaprowadził do ciasnej łazienki. Nie miała pojęcia, że pomalowany w czarno-żółte pasy kawałek ściany, tam, gdzie wisiała czerwona gaśnica, tuż przy wejściu do garażu, to w rzeczywistości drzwi, prowadzące do prywatnej łazienki Pierre'a.

Wszedł do kabiny prysznic i odkręcił kurki. Zanim zostawił ją samą w łazience, poprosił, aby zawołała, gdy będzie potrzebowała ręczników. Szybko zrzuciła ubrania i trzęsąc się z zimna, stanęła pod strumieniem gorącej wody. Nie pamięta, ile czasu minęło. Może minuta, może dwie. Kiedy poczuła rozchodzącą się po jej ciele błogość, otworzyła na oścież zaparowane szklane drzwi kabiny i zawołała. Wszedł z ręcznikami. Położył je na umywalce i patrzyli sobie w oczy. Potem zsunął buty i nie zdejmując ubrania, wszedł do kabiny, docisnął szczelnie drzwi i zaczął ją całować.

Obudził ją hałas dochodzący z ulicy. Z twarzą wtuloną w jego plecy leżała na skraju wąskiego łóżka. Wysunęła delikatnie nogę spomiędzy jego ud. Zamruczał coś cicho przez sen. Korytarzem, cicho na palcach, przebiegła do ściany z gąsnią. Ręczniki w umywalce leżały nienaruszone, drzwi do kabiny były otwarte. Na kamiennej posadzce pod prysznicem leżała błękitna koszula przykryta jego spodniami. W tylnych kieszeniach spodni trzymał wypchaną saszetkę z kluczami. Skojarzyła, że to ta pękata góra kluczy wpijała się w jej kolano, gdy klęczała przed nim, a on szeptał, obejmując jej głowę i odsuwając włosy z czoła.

I koszula, i spodnie ciągle były mokre. Wyciągnęła je z kabiny, złożyła w kostkę i wsunęła do drucianej skrzynki pod umywalką. Zebrała swoją podeptaną bluzkę i spódnicę z podłogi. Zakładając je na siebie, poczuła nieprzyjemny chłód. Były wprawdzie suche, ale bardzo zimne. W prowizorycznej łazience nie było żadnego ogrzewania. Uśmiechała się pod nosem, wsuwając swoje majtki i stanik pomiędzy jego koszulę i spodnie leżące w skrzynce. Szczoteczką, którą znalazła w kubku na umywalce, wyszorowała zęby.

Wprawdzie było zbyt wcześnie, aby ktoś mógł pojawić się o tej porze w biurze, wołała jednak nie ryzykować. Cicho otworzyła drzwi łączące biuro z garażem i wydostała się na wąską, pustą o tej godzinie uliczkę za budynkiem. Deszcz nie przestał padać. Nie była to wczorajsza gwałtowna ulewa, ale nie była to także mżawka. Szybkim krokiem szła w kierunku stacji metra i uśmiechając się do siebie, myślała, że ma temu londyńskiemu deszczowi wiele do zawdzięczenia.

Kiedy poprzedniej nocy zdecydowała się zawrócić tę taksówkę, do ostatniej chwili nie miała pojęcia, co odpowie na pytanie, dlaczego wróciła. Co miała mu odpowiedzieć, gdy otworzy drzwi? Prawdę? Że nie chce dzisiaj wracać do pustego mieszkania, obudzić się w łóżku, wpychając poduszkę między uda i dziko się masturbować, myśląc o nim? To miała mu powiedzieć?! Że chce się z nim kochać? Tak wprost!?

A tymczasem, jak gdyby łaskawy los wiedział, zesłał tej nocy nad Londyn ulewny deszcz. To akurat dla losu w Londynie nie było trudne. Bo w tym mieście przecież ciągle pada. Pomimo to jest mu za tę listopadową ulewę ogromnie wdzięczna, bo to, że zupełnie zaskoczony Pierre wciągnął ją do biura jak zmokniętą, przemarznąętą kurę, uwolniło ją od konieczności odpowiedzi. Pewnie Pierre kiedyś powróci, jak go zna, do tego pytania, ale po tym, co wydarzyło się między nimi minionej nocy, prawdziwie i szczerze odpowie, że chciała, aby tamta noc skończyła się w jego łóżku. Pragnęła tego wiele nocy wcześniej, ale nie wie, dlaczego odważyła się akurat tamtej, wczorajszej. Może powiedział coś szczególnego, może w szczególny sposób się do niej uśmiechnął, a może dotknął, nawet jeśli tylko nieopatrznie, jej dłoni? Nie wie dokładnie. Wie natomiast z całą pewnością, że powinna zawrócić taksówkę wiele nocy wcześniej.

Do domu pojechała metrem. Włączyła muzykę, przebiegła do łazienki, odkręciła kurki nad wanną i wróciła do kuchni. Naga, z filiżanką pachnącej kawy weszła do łazienki. Postawiła filiżankę na wysokim plastikowym taborecie obok wanny. Powoli zanurzyła się w pachnącej lawendą pianie. Zamknęła

oczy i myślała o minionej nocy. Pod prysznicem, w tej ciasnej jak klatka kabinie była to drapieżna, dzika, niecierpliwa, wyuzdana chuć wygłodniałej samicy i rozbuchanego samca. Były krzyki, były jęki, zostały ślady jej paznokci na jego pośladkach, ślady jego zębów na jej sutkach i otarte jego twardym zarostem podbrzusze. Potem, gdy ciągle mokrzy ciemnym korytarzem przebiegli do jego rupieciarni, na tym wąskim łóżku była delikatność, czułość, szepty, westchnienia, powolna ciekawość, przełamywanie wstydu, którego przecież już być nie powinno, ale przede wszystkim była... uważność. Nie potrafiła inaczej niż właśnie uważnością nazwać tego, w jaki sposób poznawał reakcję jej ciała. Dotykał. Opuszkami palców, językiem, wargami, kciukiem, włosami, a także uchem, które przyciskał do skóry pod jej lewą piersią. Szeptał przy tym. Dużo pytał, tym swoim szeptem pytał. Nie był chyba pewien, czy rozumiała jego pytania, więc przyciskał, palcami, językiem lub zębami. Mocniej, słabiej, wolniej, szybciej, delikatniej, subtelniej lub nagle zupełnie inaczej, do granicy bólu. Koniecznie chciał się dowiedzieć. I natychmiast się dowiadywał. Szeptęła, przyspieszała oddech lub go zwalniała – momentami do bezdechu – unosiła się lub opadała, rozsuwała lub zaciskała uda. A on to wszystko w swojej pamięci notował, jak gdyby tworzył mapę jej ciała. Uważny był. Dokładny i bardzo uważny...

Usłyszała ciche brzęczenie. Dopiero po chwili skojarzyła, że wyciszony telefon, wibrując, poruszał talerzykiem leżącym na kuchennym stole. Pośpiesznie wyszła z wanny, rozlewając wodę na kafelki podłogi w łazience. Oprócz rzadkich telefonów od sekretarki z ich biura i jeszcze rzadszych od babci

Rozalii w Gdańsku nikt inny do niej nie dzwonił. Do przesady, pedantycznie poprawna Wilhelmina, ich sekretarka, nigdy nie zatelefonowałaby o tej porze, chyba że Londynowi groziłoby jakieś katastrofalne tsunami. Upadła, biegnąc po śliskiej posadzce w kuchni. Zanim się podniosła i mokrą dłonią chwyciła aparat, brzęczenie ustało. Numer dzwoniącej osoby był ukryty. Przez chwilę wpatrywała się w ekran, czując niepokój. Akurat dzisiaj rano? Po tej nocy z Pierre'em? Ktoś chciał z nią rozmawiać? I to z pewnością nie mógł być on. Nie znał jej numeru i na dodatek spośród wielu jego dziwactw to, że nie używa telefonu komórkowego, było chyba dziwaczne najbardziej.

Przeszła do sypialni, włożyła świeżą bieliznę, zjadła zalane kefirem płatki owsiane, włączyła muzykę i stojąc przed otwartą na oścież szafą, długo wybierała sukienkę. Tamtego wtorku pragnęła być w biurze odświeżona. Dostyc spranych T-shirtów i wyciągniętych swetrów, dość wytartych dżinsów, dzisiaj żadnych kłapek, trampek lub kaloszy. Gdy wkroczy do biura, pomyślała, że pewnie po pracy „Polka ma nareszcie randkę”, będą przyglądać się jej ukradkiem, będą umierać z ciekawości, jednak – jak to oni zafiksowani na punkcie szczelnego odgradzania prywatności od pracy – nie zapytają o nic. On także oczywiście nie zapyta. Ale on będzie przecież wiedział.

Od tamtego listopadowego poniedziałku nie wracała już więcej do domu nocnymi taksówkami. Oprócz tego nie zmieniło się zbyt wiele. Gdy minęły dwie godziny, odkąd biuro opustoszało, rozkładał obrus na nieskazitelnie pustym biurku Wilhelminy, opuszczał roletę przy szybie wystawowej, wyłączał

telefony, rozkładał talerze, stawiał kieliszki, siadali naprzeciwko siebie i rozmawiali. Trochę inaczej. Zadawał o wiele więcej pytań. Mniej mówił. Słuchał. Bardziej niż słuchał. Wsłuchiwał się w nią. Nikt tak, oprócz Rozalii, nie słuchał jej w całym życiu. Tak całym sobą. Patrzył przy tym w jej oczy. Nieustannie, przenikliwie. Nawet gdy wstawał, aby dolać jej wina, nie spuszczał z niej wzroku.

Pewnego wieczoru zapytał o jej rodziców. Opuściła głowę i długo milczała.

Miała wrażenie, że samochody za oknem przestały jeździć i w biurze zrobiło się jeszcze ciszej. Tak cicho, że słyszała tykanie zegara wiszącego nad drzwiami do biura. Nie miała pojęcia, że ten zegar w ogóle tyka. Pamięta, że sięgnęła po kieliszek i trzymając go w dłoni, mrużyła oczy, spoglądała na załamujące się na krawędzi wina i powietrza światło świecy. Mama miała na imię Agnieszka, szepnęła. I zaczęła opowiadać.

Ostatnie, co pamięta, to jak uśmiechając się, wyciąga do niej rękę, w której trzyma obraną mandarynkę. Potem usłyszała przerażający huk i zobaczyła, jak rękę mamy tuż pod łokciem odcina blacha dachu auta. Palce dłoni zacisnęły się na spryskanej krwią mandarynce, a potem odcięta ręka upadła na podłogę samochodu i zrobiło się zupełnie ciemno, chociaż to wcale nie była noc. Kiedy się ocknęła, zobaczyła trawę. Patrzyła na soczystą zielen nieskoszonych trawy, przewieszona przez ramię jakiegoś mężczyzny, który płacząc, tulił ją do siebie, chociaż nie był jej tatą.

Nie mam rodziców od dawna, powiedziała. Bo tatusia mi zabili. Naćpany i pijany kierowca go zamordował. I mamusię

także, powiedziała. Duszkiem wypła wino z kieliszka i podnosząc głowę, zapytała, czy mógłby nalać jej wody do szklanki. Siedział z palcami w ustach, patrzył na nią przerażony i gryzł paznokcie. Słyszała chrobot gryzionych paznokci, patrząc w jego nienaturalnie duże oczy. Woda była w kuchni. Musiał więc wstać, zostawić ją samą, bo kuchnia była dwa pokoje dalej. Nie chciała, aby teraz cokolwiek powiedział. Chciała być sama. Chociaż chwilę. Kiedy wrócił z karafką pełną wody, już nie płakała. Zapytał, ile jej matka miała lat, gdy to się wydarzyło. Nigdy o tym nie myślała. Ja miałam sześć, a mama... mama dzisiaj byłaby w twoim wieku, odparła. A tatuś? On był trzy lata młodszy od mamy, dodała po chwili.

Nie pytał tamtego wieczoru o nic więcej. Stał się zamyślony i nienaturalnie milczący. Zastanawiała się, czy dobrze uczyniła, opowiadając mu o wypadku sprzed lat. Mogła przecież powiedzieć, że rodzice nie żyją. Z drugiej strony, znając go, zacząłby wypytywać. A ona nie potrafiłaby go okłamać. Myślała też o tym, że mogła przecież nie mówić o wieku swojego ojca. Pierwszy raz, zupełnie przypadkowo, wybrzmiała informacja, że sypia z kobietą, której ojciec jest młodszy od niego. Nigdy przedtem o tym nie rozmawiali. Dla niej nie miało to żadnego znaczenia. Dopiero tamtego wieczoru, i to tylko między wierszami, pojawił się temat różnicy ich wieku.

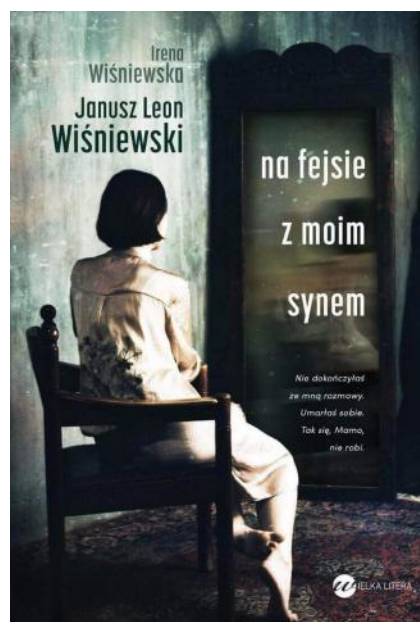
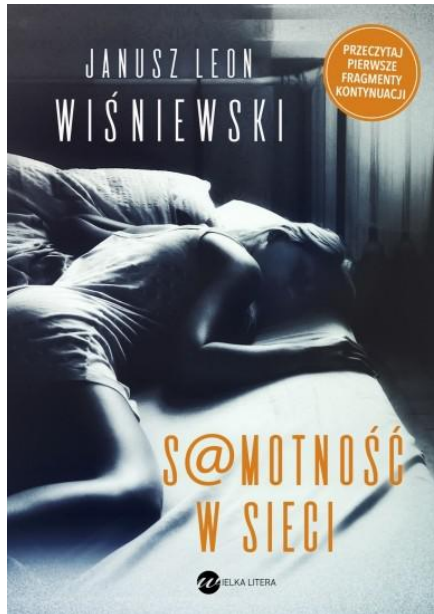
Nie kochali się tamtej nocy. Leżała odwrócona plecami, wciskając pośladki w jego podbrzusze. Dotykał wargami jej włosów, co jakiś czas delikatnie gładził opuszkami palców policzki. Jak gdyby sprawdzał, czy płacze. Rano, jak po każdym poniedziałku i wtorku, wyszła garażem na wąską uliczkę,

wsiadła do metra i wróciła do domu. Ich związek, co zupełnie jej nie przeszkadzało, był tylko ich związkiem. Świat nic o nim nie wiedział, a jej wcale na świecie nie zależało. Bo on był jej całym światem.

Spędzali ze sobą trzy dni w tygodniu. I trzy noce. Cały czas był blisko niej. Czowała jego zapach, słyszała jego głos, dotykała ukradkiem jego dłoni, gdy opierał je na blacie jej biurka, widziała, jak siedząc w fotelu, rozmawia gryząc ołówek. Zawsze ten sam, ten krótki, czarny. Chociaż w kubku na jego biurku było kilkanaście innych.

Więcej o książce przeczytasz [tutaj](#).

Mogą zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl